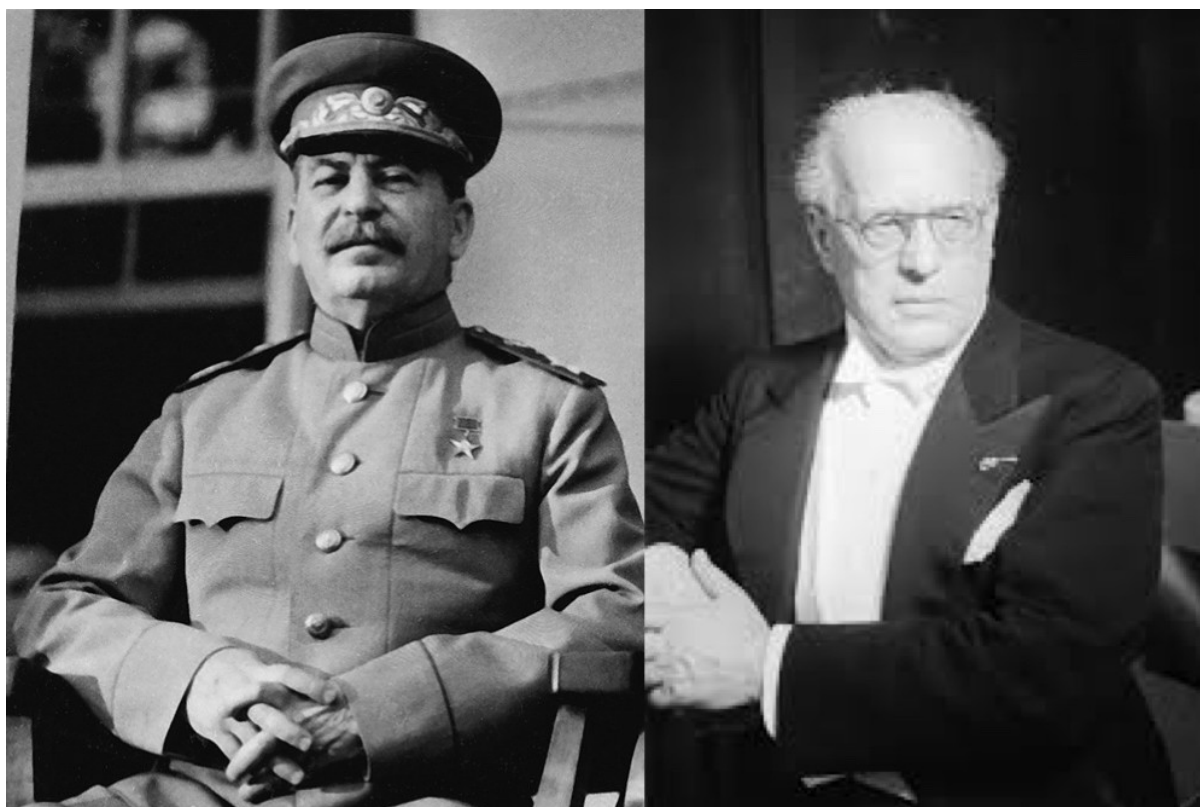


## Dyktator i dyrygent. Felieton niepoważny Tomasza Trzczińskiego



Motto:

„...jadą sobie zwłoki czyjeś,

rodzinka łka

on już umarł – a ja żyję

wesoło mi, cha – cha!”

Jerzy Jurandot: „Wesoło mi”

---

Był dosyć chłodny poranek 5 marca, roku pańskiego 1953. Kilka godzin wcześniej w niewyjaśnionych do końca okolicznościach skonał w swojej willi pod Moskwą, w otoczeniu najbliższych współpracowników krwawy wódz ZSRR, tryumfator II Wojny Światowej, Iosif Wissarionowicz Stalin czyli Gruzin Szoszo Dżugaszwili, radziecki rewolucjonista i późniejszy dyktator, sławny z najgorszych zbrodni przeciwko ludzkości, w tym najbardziej przeciw tym narodom, którymi jako satrapa w funkcji sowieckiego imperatora sam władał i miał, żeby tak powiedzieć, do swojej i swoich służb, wyłącznej dyspozycji.

Gazety Moskwy i podległych jej państw ludowego kominternu wybiły we wszystkich krajach, i miastach bloku wschodniego fakt ten największymi z możliwych czytelnymi czcionkami, i czarnymi literami ogłosiły światu złowrogą traumę. Dla beneficjentów komunizmu żałoba i trwoga z tego faktu płynąca była oczywista. Jednak wśród narodów bloku wschodniego, uciskanych przyjacielskimi kamaszami Stalina, eksplodowała głęboko skrywana i bezgraniczna radość. Nareszcie...

Liczono nawet trochę i na to, że podniesie się choć na chwilę żelazna kurtyna, ale nie wiadomo, że już dawno łańcuchy jej mechanizmów rozkradziono na wódkę, a samą kurtynę głęboko wbetonowano, by komuś nie przyszło na myśl uniesienie jej choćby na milimetr. Dla niektórych, spośród kilku otaczających dyktatora

podwładnych, taka dziura w płocie komunizmu mogłaby być nawet zbawienna. Śmierć satrapy oznaczała w dyktaturze sowieckiej potężne trzęsienie ziemi, tornado na szczytach i aresztowania na wszystkich szczeblach władzy. Można to przyrównać do rzezi niewiniątek, zwłaszcza że już samo zejście Josifa Wasirionowicza było dosyć zagadkowe. Podobnych jemu, tyle że niższych stopniem „niewiniątek” zaś nie brakowało.

Niestychany jak na tę okoliczność traf zechciał, że w tym samym dniu, w cieniu Wielkiego Wodza odszedł na zawsze także inny sławny w świecie, i zamieszkujący w ZSRR obywatel, symbol komunistycznego dobrodziejstwa i rewolucyjnej muzycznej neosztuki, wielki radziecki artysta, kompozytor, i pianista-wirtuoz – tow. Sergiusz Prokofiew. Fakt ten odnotowano w tych samych co i w przypadku śmierci Josifa Stalina gazetach, ale już małym druczkiem w dolnym rogu ich pierwszych stron, by tylko nieliczni mogli się zorientować, czyja śmierć miała dla świata mniejsze znaczenie. System płakał wielkimi czarnymi łzami po swoim największym unicestwiaczu.

Sergiusz Prokofiew, wychowanek paryskiego konserwatorium i najlepszej, jak na owe czasy szkoły kompozytorskiej pod dyrekcją sławnej pedagog Nadii Boulanger od czasu, gdy hucznie powrócił do ZSRR, uważany był za głównego reprezentanta muzyki radzieckiego socrealizmu, i wojującego antyburżuazyjnego antyformalistę, sławiącego w swojej niezwykłej sztuce dobrodziejstwa dokonań sowieckiego imperium. Z biegiem czasu dawał temu wyraz coraz głębi, w coraz bardziej ponurych i dekadentkich kompozycjach, o ciężkawej późnoromantycznej formie a także w stylistyce, uciekającej w banał i ironię przesytną bolesnym sarkazmem. Szczytem tych osiągnięć jest choćby uważany za arcytrudny wykonawczo i wyjątkowo szaleńczy w wyrazie jego 5. Koncert Fortepianowy.

Rankiem owego pamiętnego dnia, gdy świat budziła wiadomość o śmierci ojca Narodu Radzieckiego a przy okazji także o śmierci wielkiego artysty Sergiusza Prokofiewa, katowickimi ulicami zmierzał na próbę Wielkiej Symfonicznej Orkiestry Polskiego Radio jej słynny polski dyrygent Grzegorz Fitelberg, mijając po drodze wyeksponowane na wystawach kiosków nagłówki wszystkich gazet, a szczególnie jednej, PRL-owskiej tuby radzieckiej propagandy, czyli Trybuny Ludu, głoszącej śmierć Josifa Stalina. Wokół panowała grobowa cisza, życie zdawało się, zupełnie zamarło. Tylko ptaszki najbezczelniej i radośnie wieściły zbliżającą się wiosnę. Stanąwszy przed orkiestrą Fittelberg zauważył wśród muzyków niemałe podniecenie. Nastrój, który panował był dosyć jednoznaczny.

Jako świetny psycholog postanowił więc rozładować to napięcie, podkreślając na swój sposób doniosłość i wyjątkowość chwili.

– Szanowni Państwo,

zwrócił się do członków wielkiej radiowej orkiestry nader uroczyście jej sławny dyrygent,

– dzisiaj w nocy jak zapewne wszyscy Państwo już wiecie zmarł w Moskwie wielki człowiek. Opuścił ten świat ktoś, komu ludzkość zawdzięcza wielki kulturowy wkład w jej dzieje, Europa w historię światowej rewolucji i przemianę kultury, a także nadzwyczajny rozwój cywilizacji socjalistycznej. Powstańmy więc i uczcijmy jego pamięć minutą ciszy, uczcijmy pamięć wielkiego człowieka.

Muzycy, co nieco zdumieni, ale i przejęci bez szmeru powstali z miejsc. Nastąpiła długa minuta grobowej ciszy. Obecni rutynowo na sali i zawodowo prawie niewidoczni funkcjonariusze urzędu bezpieczeństwa publicznego nie posiadali się z radości. Towarzysz dyrygent Fitelberg przeszedł ich najśmielsze oczekiwania i spełnił pokładane w nim od tylu lat przez komunistyczną partię nadzieje. I oni podnieśli się ze swoich miejsc. A gdy po tej długiej minucie czczenia grobową ciszą pamięci wielkiego człowieka muzycy usiedli wreszcie na swoich miejscach i wzięli w ręce ostygłe z żalu instrumenty, Fitelberg, z istic figlarnym grymasem na twarzy dorzucił:

– Słyszałem, że Stalin też dzisiaj umarł?

Fazit: Stalin przeszedł do historii jako potwór i zbrodniarz. Prokofiew jako mimo wszystko dzielny, cierpiący w sowieckiej Rosji artysta i wizjoner muzyki, i sztuki. Artysta tworzący bardzo osobliwą i pełną wyrazu, niezwykłą sztukę dźwięku. Za to cenią go do dzisiaj muzyka i muzycy, pamięta historia tej dyscypliny kultury. Ale, ciekawe jest, że odeszli obydwaj akurat w tym samym dniu co i Stalin. Nieszczęścia odchodzą parami? A może seryjni samobójcy to nie jest wymysł naszych czasów? Dodajmy, że z relacji świadków wynika, że radziecką towarzyszką życia Prokofiewa była wysoko postawiona funkcjonariusz KGB, pani oficer, i prawdopodobnie ta sama osoba, która postarała się o to, by jego pierwszą, przywiezioną z Hiszpanii żonę, skutecznie odesłano. Skutecznie i na zawsze, tam, skąd już się na ogół w Rosji sowieckiej prędko nie wracało. O ile wracało się stamtąd w ogóle. Stało się to podobno za wiedzą i zgodą Prokofiewa. Czegóż przecież nie robi się dla sztuki...

Grzegorz Fitelberg zaś wiele lat później, przeniósłszy się służbowo do Warszawy, by pokierować artystycznie Orkiestrą Filharmonii Narodowej i wypełniając w druku formularza rubrykę: życiorys, wpisał:

„Patrz – leksykon!”

I za to także bardzo go cenimy!

Autor: [Tomasz Trzcński](#)

<http://pressmania.pl/author/tomasz-trzcinski/>

